

# Fritz Schmaeling

---

## Dziejów koszar im. generała von Strantza rozdział ostatni

---

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny 2/6, 233-235

---

1999

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

NADWARCIAŃSKI ROCZNIK  
HISTORYCZNO-ARCHIWALNY  
NR 6/2

**Fritz Schmaeling**  
Niemcy

**Dzień w koszarach im. generała von Strantza  
rozdział ostatni\***

30 stycznia 1945 roku Gorzów obiegały sprzeczne pogłoski. Wydano rzekomo o 3 w nocy rozkaz ewakuacji miasta. Przebudzony z krótkiego kamiennego snu, podenerwowany, wybiegam do koszar. W oddziale szpitalnym natrafiłem na gorączkowy ruch. Nie znany mi lekarz sztabowy rozdziela pomiędzy swoich ludzi żywność i papierosy. To jakiś oddział będący w odwrocie zatrzymał się tu dla chwili wytchnienia. W gabinecie zabiegowym dostrzegam młodego lekarza w randze sierżanta sanitarnego, który opatruje rannych. Krążą pogłoski, że Gorzów będzie się bronił, czemu nie dajemy wiary. W tłumie ludzi przechodzących korytarzem zauważam lekarza naszej służby garnizonowej w randze podoficera sanitarnego, Schreibera, podążającego z plecakiem na ramieniu ku wyjściu. Chwytam go za rękaw. Robi wrażenie nieprzytomnego. Jakby mnie nie poznawał. Wyrzuca z siebie słowa: „Musimy przebić się do Kostrzyna”. Pytam go o komendanta garnizonowego szpitala. Słyszę w odpowiedzi: „Od wczoraj nie ma tu żadnego komendanta szpitala”. Wybiega ku wyjściu.

Lekarz pomocniczy wciąż opatruje nowo napływających rannych, nie zajmując się sobą, nie troszcząc się o swój los. Znowu pogłoska: będziemy się bronili w koszarach. W gabinecie garnizonowego lekarza dzwoni telefon. To ze stanowiska w hotelu Elste dzwoni jakiś pułkownik, domagając się przywołania głównego lekarza garnizonu. Usiłuję przedstawić mu sytuację. Nie pojmuję, co do niego mówię. Tłumaczę raz jeszcze. Pojął.

---

\* Tekst ten został zamieszczony na łamach *Heimatblatt der ehemaligen Kirchengemeinden Landsberg /Warthe, Stadt und Land* z roku 1966 nr 7/8, str. 8. Przetłumaczył Zbigniew Czarnuch.

W oddziale szpitalnym rozgardiasz coraz większy. Lekarz jest właśnie zajęty ciężkim przypadkiem i robi zastrzyk (następnego dnia widziałem go tuż za Witnicą, gdzie na skraju drogi opatrywał rannych). Pomaga mu w tym student medycyny Köpke, syn naczelnego lekarza oddziału sanitarnego z Frankfurtu nad Odrą. Z naszej gorzowskiej kolumny nie widzę już nikogo. Zostałem sam. Są tylko ludzie do nas odkomenderowani, którzy w pomieszczeniu biurowym usiłują przed wymarszem skompletować połowy ekwipunek.

W południe w hali ćwiczeń okropny wypadek. W wyniku wybuchu pancernicy co najmniej dwunastu żołnierzy zostało poranionych. Opatrzeni prowizorycznymi opatrunkami leżą w dużej sali chorych. Jęki i krzyki rannych wypełniają salę. Łóżka stoją w nieładzie, wszędzie walają się porozrzucone części garderoby i części uzbrojenia. Można odróżnić w jakiej randze byli ci, co nosili walające się mundury: starszy sierżant, intendent sztabowy... Pod jednym z łóżek dostrzegam kałużę krwi. Biegnę do gabinetu zabiegowego... Zastaję tu taki bezład, że rezygnuję ze znalezienia czegokolwiek, co jest mi potrzebne, i biegnę do pomieszczeń piwnicznych, gdzie znajduje się magazyn leków i środków opatrunkowych. Zakładam żołnierzowi powyżej rany opatrunek uciskowy. Prosi mnie o środki znieczulające. Ci, którzy nie stracili jeszcze przytomności, błagają o to samo. Był jeszcze czas, więc czynię zadość ich życzeniom. Rannych przybywa. Przeważnie napływają z kierunku Strzelec Krajeńskich. Blokują lekarza w okiennej wnęce. Widziałem go potem, jak resztkami sił brał udział w ewakuacji najciężej rannych. Dzięki woli czynu pewnego oficera, który przejął dowództwo, dokonało się to, co w tych warunkach zdawało się być niemożliwe: ewakuowano chorych ciężarowym samochodem.

W korytarzu natrafiam znowu na odkomenderowanych, którzy zdobyli już gdzieś broń i amunicję i zdążyli zapakować swe plecaki. Biegnę do sąsiedniego bloku po pościel. Nie ma już nikogo, kto by ją wydawał. Każdy bierze, co mu się podoba. Na północy i północnym wschodzie widać luny. Huk armat słychać już dużo bliżej niż było to wczoraj.

Na dziedzińcu koszar płonie ognisko. Pałają batalionowe akta. Znowu pogłoski: koszary będą oddane bez walki. Ubieram się w pokoju lekarzy i staram się skoncentrować na racjonalnym pakowaniu plecaka: leki, środki opatrunkowe, prowiant... Raz jeszcze zaglądam do gabinetu zabiegowego. Są tu ranni, którzy sami zakładają sobie opatrunki. Na stole widzę porzrywane duże opakowania cennych leków, strzykawek, instrumentów medycznych. Na podłodze walają się butelki z różnymi

lekami i leży piramida resztek bandażu sięgająca blatu stołu. W poszukiwaniu środków opatrunkowych trafiłem do biura. Zastaję tu kartotekę uzbrojenia kolumny. Co z nią z robić?? Z zadumy wyrывa mnie wołanie. To jeden z naszych odkomenderowanych stoi zadyszany w drzwiach i krzyczy, że mam zaraz wychodzić. W jego oczach widzę lęk. Dopiero teraz dotarła do mnie powaga sytuacji. W końcu korytarza uchylają się drzwi. Wchodzi trzech mizernych, wyczerpanych wojaków o szarych ze zmęczenia twarzach. Jeden z nich z brudnym opatrunkiem pyta o lazaret i jego punki przyjęć. Przedstawiam im naszą sytuację i zarzucając plecak na ramię, wybiegam na dziedziniec. Biegnę przez przymię żarzącego się jeszcze popiołu w kierunku bramy przy ulicy Lehmannna [dziś Chopina - przyp. tłumacza], mając za sobą jasno oświetlone miasto, którego tylko część budynków została opuszczona przez mieszkańców. Przejeżdżający, przeładowany konny wóz w wyniku poślizgu na zamrzniętej, zlodowaconej drodze łamie sobie o słup przednie koło, stając w poprzek ulicy. Mijam go i dobiegam do grupy naszych odkomenderowanych. W tym momencie widzę, jak poślizgnął się na drodze student Köpke i leży jak długi. Wstał i poszedł dalej. Nikt nie zareagował na to ani słowem. Między 19<sup>00</sup> a 19<sup>30</sup> docieramy do Küstrinerstrasse (ul. Koszaryńska). Czuję nagłe osłabienie. Staję i opieram się o ścianę. Wołam do naszych, że muszę odpocząć. Podbiegają dwaj berlińczycy. Namawiają, bym został w domu: „Przecież wszystko już przeminęło”. Wkrótce straciłem z oczu ich i pozostałych z naszego batalionu. Mijały mnie nadciągające bezustannie zaprzęgi i grupy żołnierzy. Słychać było trzaski hełmów spadających z przeładowanych wozów. Rzucam i ja w ciemność maskę przeciwgazową i hełm. Z lżejszym już obciążeniem podbiegam do wylaniającego się z mroku wozu i dołączam do maszerujących w milczeniu żołnierzy.

Szliśmy na zachód.